



POLSKIE DROGI

O drogach polskich, a raczej ich braku ◦ Spotkanie przy brodzie ◦ Nieboszczyk w aksamicie ◦ Podejrzana kompania ◦ Genealogia panów Bolestraszyckich ◦ Podejrzenia Świrskiego ◦ Ranny koń ◦ Rozmowa pana i chamów ◦ Gniew stolnikowica ◦ Pogoń ◦ Zwada w kuźni ◦ Co było w trumnie? ◦ Pan i Moskal ◦ Opowieść o cudownym ocaleniu carewiczka Dymitra

Die 3 julii, Anno Domini 1604

Trakt pod Denowem

Godzina piąta po południu

Zryty i pobrużdżony koleinami przejazd przez Cygański Potok zastawiał chłopski wasąg zaprzężony w dwójkę kasztanowych woźników. Rzecz jasna, nie było w tym nic nadzwyczajnego – zarówno w błocie, w którym grzązł wóz, jak i w nikczemnej szerokości traktu. Drogi bowiem nie tylko w ziemi przemyskiej, ale w całej Koronie Polskiej prezentują się niczym w dzikim kraju. Sterczą z nich kamienie niczym guzy na łbie sejmikowego krzykacza, korzenie w poprzek i wzdłuż przechodzą trakt, a piasek i błoto pozostają na swoich

miejscach podobno od czasów potopu, a na pewno od ostatniej powodzi. Jadąc gościńcem, podróżny w każdym lesie bije pokłony nieobcinanym od wieków gałęziom drzew, a kiedy wiatr wywróci sosnę, musi wędrowiec drapać się po krzakach, potykając o zmurszałe pnie.

O mosty lepiej nie pytać. Wiadomo: polski most, niemiecki post i cygańskie nabożeństwo – wszystko to błazeństwo. W województwie ruskim czasem zdarzy się kilka pni rzuconych w strumień albo głązy spiętrzone na dnie rzeki. W ziemi przemyskiej jest jeden most w Przemyślu. Drugi najbliższy stoi w Krakowie. Trzeci pojawia się czasem w Warszawie, ale tylko wówczas, gdy Wisła tego roku jest nad wyraz łaskawa.

Na Cygańskim Potoku, uchodzącym do Sanu pod Bachorkiem, nie tylko nie było mostka, ale nie uświadczyłeś nawet paru palików czy gałęzi wskazujących, w którym miejscu przekroczyć można wezbrany strumień. Nie brakowało jedynie błota zaprawionego obficie końskim i krowim łajnem. W takiej to właśnie brei, zanurzony wyżej osi, tkwił nieszczęsny wasąg z dwójką nieszczęśliwych powozowych koni; tak kościstych i wychudzonych, jakby połknęły obręcze starej beczki.

Jacek Dydyński, stolnikowic sanocki, wracający z poczem z wojny inflanckiej, podniósł rękę. Nie przeprawiłby tedy swojego skarbnika i kolasy, nie usuwając najpierw zawalidrogi, który rozkraczył się na brodzie niby pijany Mazur na karczemnej ławie.

– Stawaj! – zakrzyknął Herakliusz Świrski, czarny jak żuk i chudy niczym smolna szczapa pocztowy. Był to znany w wojsku statysta i człowiek, który nie pijał wody – chyba że po pijanemu wpadł do kałuży. W towarzystwie znano go jako moczygębę wytrawionego ze szczeniem przez małżamję i wino alikant, czleka, co z różnych pieców chleb jadał, a i w niejednej babskiej duchówce pozostawił bękarta. Świrski żywił się plotkami jak koń sianem.

– Nie ma przejazdu!

– Stóóóój!

Gdyby w błocie utknęła kolasa pięknej panny, Dydyński na własnych rękach wyniosłby nadobną łanię z pułapki; ma-

jąc – jak każdy szlachcic – nadzieję, że w zamian za to da mu uszczknąć ze smacznego kęsa, który każda niewiasta nosi pod sercem, jak i w miejscu wiadomym każdemu człowiekowi, który nie składał ślubów zakonnych. Gdyby zaś przejazd zastawił zwykły chłop albo Żyd, pan stolnikowic sięgnąłby po nahaja i otworzył sobie drogę sposobem najpewniejszym. Wszak pogańskie woźnicy sprawdzało się o wiele lepiej niż smaganie koni.

Niestety, przy wasągu uwijało się pięciu chłopu, których niełatwo było skropić batem. Nie wyglądali na kmieci ani miejskich łyczków, a już w najmniejszym stopniu nie przypominali gładkich białogłów. Nie byli to także pacholki w barwach Stadnickich czy Krasickich; prędzej swawolna kompania albo – jeśli kto woli – kupa z gościńca. Ostatecznie mogli być zbrojnym poczem zubożalego podgórskiego szlachcica, pana na pięciu kapuścianych głowach i czterech krowich ogonach.

Mówiąc krótko – zbieranina.

Prowodyrem tego – szumnie mówiąc – towarzystwa był szlachcic niegolony bodaj od Wielkiejnocy, z długimi posiwiałymi włosami wymykającymi się spod kołpaka. Jego oczy były niczym dwie ciemne szparki, a na pokierszowanym obliczu można było wyczytać tyle, co na czystej karcie papieru – po prostu jedno wielkie nic.

Siedział w kulbace na podsobnym, czyli lewym dyszlowym koniu, podczas gdy umorusani aż po pachy kompani, zziązani i zdyszani jak brytany po biegu za niedźwiedziem, napierali na wóz, próbując wypchnąć go z trzęsawiska. Ci też nie wyglądali jak družbowie od pary. Jeden w baranicy, z czarną brodą, dwóch kozaczków w hajdawerach jak parciate worki. Obok nich przycupnął w błocie hajduk w magierce i błękitnym, dziurawym żupanie. Kompania nie do różańca i tym bardziej nie do tańca, bo każdy miał przy boku szabelkę. Wiadomo – czasy były niespokojne. Jak bodaj od stu lat na Rusi Czerwonej.

– Służba! – zakrzyknął pan Jacek, bo choć z postawy nie brał ich za szlachtę, to jednak bardziej wyglądali mu na żołnierzy niż pielgrzymów albo zagonowych kmieci. Dlatego nawet nie

podniósł rękę do wilczego kołpaka ozdobionego złotą szkofią. Jego śmigła klacz zwana Hetmanką nie chciała wejść w błoto – boczyła się i szarpnęła łbem w górę, okazując wielkie nieukontentowanie, dopóki pan nie dopomógł jej w podjęciu właściwej decyzji ostrogami. – Usuniecie się z drogi! Przejazd zastawiacie!

Szlachetka na koniu podniósł głowę, opuścił bat, powoli i niechętnie zsunął kosmatą czapę na lewe ucho.

– Dopraszamy się łaski, mości panie – rzekł uniżenie. – Oś diabeł kusiem strzelił. Ni wstecz, ni na wprost iść nie chce. Pewnie zejdzie nam się do nocy. Chyba że nas ktoś wspomůže po chrześcijańsku.

Do wieczora nie było daleko; słońce zniżało się ku lesistym pagórom na drugim brzegu Sanu. Schodziło nad wzgórza przetykane kolorowymi łatami pól, gdzie na jednych niwach żółciło się dojrzewające zboże, inne zaś zdobione były na przemian – białawymi rojami kwiatów gryki lub niskim owsem – jak haftem utkany z zielonych i żółtych płam. Rozlany potok nie dawał sposobności, aby wyminąć wasąg; prędzej oferował wątpliwą przyjemność kąpieli w błocku, trzcinach i tataraku, w objęciach zdradliwych białych nenufarów i sitowia. Dydyński także wody nie lubił, więc skrzywił się.

– Borek! Mykoła! Zaprząc nasze woźniki do wasągu, a jak nie wyciągną, to własnym grzbietem burty podeprzeć!

– Znaczy sje wyprzęgać?! – zagderał niski, pleczysty Borek wiodący dwukonny skarbny wóz pana Dydyńskiego. – Znaczy sje po błociach mamy brodzić? My?

– Co, może ja mam zejść?! Korona wam ze łba nie spadnie!

Woźnice niechętnie zeskoczyli na ziemię. Borek popluł w garście, złapał szory, odczepił je od orczyków, a potem poprowadził gniadosze ku brodowi, burcząc i gderając coś pod nosem. Mrukliwy i pobożny Mykoła nawet się nie odezwał – bez namysłu wszedł w głębokie, sięgające powyżej kolan błocko. Dwaj pacholki różnili się na tyle, że gdyby gadanina była srebrem, a milczenie złotem, Borek poszedłby z torbami, Mykoła zaś chadzałby w karmazynowych szatach.

Borek jak zwykle zamarudził na brzegu. Stękał i przestępował z nogi na nogę, jakby chadzał w satynowych ciżemkach krakowskiej ladacznicy, a nie prostych kowanych butach z bielskiej juchty, to jest wolej skóry. Dopiero kiedy Dydyński stuknął go rękojęścią nahaja w ramię, wykazując, że co pan każe, sługa musi, rad nierad wszedł w grząskie bajoro.

Oporów nie mieli pocztowi – Świrski i Damian Nieborski, zacny i wierny młodzian na służbie stolnikowica. Wpadli w bagienko na dobrych husarskich podjezdkach, podjechali do nieszczęsnego wozu.

– A skądże to Bóg prowadzi? – Świrski jak zwykle nie mógł utrzymać języka za zębami.

– Z daleka jedziecie? – Nieborski kręcił się przy wozie, zerkając do środka. Niewiele zobaczył, bo wasąg, choć pozbawiony pałuby, zakryty był z wierzchu płachtą szarego płótna.

Zarośnięty szlachcic uniósł głowę. Dydyński zaś dopiero teraz ujrzał, że przy jego boku nie wisiała szabla, ale długi, wąski rapier o czterograniastej głowni, z cebulowatą głowicą. Ozdobiony obłękami zwieszającymi się poniżej jelca niczym długie, niby dziegciowane kozackie wąsy.

– Z bardzo daleka.

– A bliżej?

– Z Wenecji.

– Cóż tam wieziecie? – Nieborskiemu nie wystarczyła widać ta krótka odpowiedź. Wrodzona ciekawość, która niejedną raz doprowadziła pocztowego do awantury, a jego pana do szewskiej pasji, znów wzięła górę nad rozsądkiem. Pachołek, nie pytając, odrzucił skraj płótna. – Olaboga! – zakrzyknął, widząc, co wyłoniło się spod materii. – Nieboszczyk, jak pana ojca miłuję!

I w rzeczy samej, na wozie spoczywała podłużna skrzynia okryta czerwonym aksamitem. Prosta, zbita z czterech desek, jak cztery przymioty i ideały szlachcica, z których najpierwszym była ostra szabelka, drugim rączy rumak, trzecim węgierskie wino, a czwartym rubaszny czerep utkany z honoru podbitego niczym ferezja polską fantazją i swawolą.

Jacek Dydyński prawie jęknął, bo młody Damian Nieborski był jak rozbrykany żreback, a stolnikowic dość już miał wypłacania za niego basarunków, świecenia oczami po sądach lub wyciągania pacholika za łeb z wież starościńskich. Wiadomo – kto się o służbę nie umie, ten się o żonę nie umie. Ale po pierwsze, pan Jacek żony nie miał, a po drugie, ciekawość pana Nieborskiego przynajmniej o kilka razy za dużo okazała się pierwszym stopniem do piekła.

– Trumna, trumna. – Zarośnięty szlachcic zachował absolutny i niczym niezmacony spokój. Jednak jeden z kozaków złapał róg płóciennej płachty, po czym narzucił go na drewniany sarkofag, wygładził i przyklepał. – Waszmościowie nie dziwcie się, jedziemy z konduktem żalobnym. Z Wenecji do Korony Polskiej.

– A kogóż to – zapytał Świrski, jak zwykle spragniony nowin, plotek i doniesień z całego świata – pani małodobra w tany pochwyliła? Waszego patrona?

– Pana Janusza Bolestraszyckiego. Zszedł z tego świata imć nieboszczyk, w podróży zabity w pojedynku. Wieziemy ciało do ojców franciszkanów w Przemyślu, aby je pogrzebać u Świętej Marii Magdaleny.

– Pokój nad grzeszną duszą – mruknął Świrski, żegnając się leniwie. – Nic dziwnego, że o nim nie słyszałem, skoro dokonał żywota w pludrackim kraju. No tak, Wenecja, przekłeta Wenecja, łyki pieniężne, a harde i podłe, jakoby kije połknęli, a na przedmieściach same tylko murwy, narożnice francowate, kupcy i banditti jakoby szczury się mnożą. Miejsce równie zacne dla uczciwego szlachcica, co zamtuż dla siostry klaryski. Darujcie, bo zapomniałem: z której linii nieboszczyk ród wiódł? Z Irządza czy też z Bolestraszcyc?

– Z Bolestraszcyc – rzekł rapierzysty pan. – Po cóż inaczej wieźlibyśmy nieboszczyka do Przemyśla?

– A mnie się zdawało, że z Bolestraszyckiej gałęzi wywodzi się tylko pięciu braci: Jan, Samuel i Krzysztof, a także Erazm i Piotr. Gdzie tedy Janusz między nimi?



– Bo to jest najmłodszy syn Jana, naszego pana. Jegomość wysłał nas do Wenecji po ciało. Tak i przywieźliśmy na jego nieszczęście.

– A nie zepsuł się nieboszczyk? – koniecznie chciał wiedzieć Nieborski. – Przecie z Wenecji siła drogi. Ze dwie niedziele jazdy się zjeździe. Konno i koleśno.

– Dość tego – uciął Dydyński dalsze wywody swoich ludzi, a zwłaszcza zbliżającą się dłuższą tyradę pana Świrskiego, iż Bolestraszyccy pieczętują się herbem Lis, przy czym ci z Irządza używają odmiany, gdzie na tarczy jest strzała srebrna dwa razy przekrzyżowana, ci zaś z Bolestraszcyc takiej, gdzie strzała krzyżyk ma tylko jeden, ale w zamian za to w klejnocie nad tarczą sterczą trzy pióra strusie zamiast czerwonego lisa. – Imacie się szorów!

Woźnice zaprzęgli woźniki do kolasy. Borek stanął przy pysku lewego, wiodąc go za uzdę, a Mykoła podparł tył wasąg plecami.

– Ruszajcie! Razeeem! Już!

Skrzypnęły osie, zatrzeszczały szory i powrozy. Zarówno ludzie zarośniętego, jak i słudzy stolnikowica dobyli wszystkich sił. Wparli się w burty wozu, stękając, klnąc i dysząc.

Jacek, trzeba przyznać, pomógł im całkiem uczciwie, porzuciwszy swój szlachecki stan i wojskową rangę towarzysza husarskiego. To znaczy zgnął parę razy Mykołę w łeb i plecy sarnią nóżką, w którą oprawiona była rękojeść nahaja.

– Dalej! Ruszajcie się! – zagrzewał wszystkich pan Nieborski. – Zapada się! Uważajcie!

Konie rżały, baty trzaskały, wasąg zaś nie miał ochoty, by opuścić błoto.

– Mospanowie, źle czynicie – Świrski postanowił udzielić utrudzonym ludziom kilku zbawiennych rad. – Nie przed się pchajcie, ale do góry podnoście! Uuuu... Mówiłem, że nie pójdzie! Bo to najpierw podważyć trzeba kłonicą!

Nie wiadomo, co poskutkowało bardziej – zbawienne fortele pana Świrskiego czy dodatkowe konie zaprzęgnięte do or-

czyków. Nagle bowiem wóz drgnął, a potem ruszył naprzód. Droga do brzegu dłużyła się nieznośnie, bo pęknięta i wyłamana oś stercząca z boku zahaczała o korzenie, przesuwając się z chrzęstem po kamieniach, póki wasąg nie znalazł się na twardym gruncie.

Mykoła i Borek wyprzęgli konie, odprowadzili je do wozów. Szlachcic z rapierem zeskoczył na ziemię, podszedł do Dydyńskiego, skłonił się dwornie i zdjął czapkę.

– Jesteśmy dłużnikami waszmości – rzekł zmęczonym głosem. – Racz przyjąć podziękowania. Nasz pan, jegomość Jan z Bolestraszcyc, będzie się umiał odwdziżyć za przysługę. A waszmości już dziś w jego imieniu na pogrzeb i stypę zapraszamy.

– Bywajcie zdrowi!

– Żegnajcie!

– Ruszaj! – krzyknął Świrski. – Ostrożnie zajeżdżaj!

Drugi brzeg powitał ich wonią świeżego siana i wieczornymi cieniami gęstniejącymi pod koronami rozłożystych lip. Wjechali na łąkę ścielącą się pod kopytami zwierząt, miękką i delikatną jak perski kobierzec. Dalej, w bok od drogi, ciągnęły się nadszańskie lasy, przeplatane bezdrzewnymi polanami dochodzącymi aż do samej rzeki. Tu rozłożyste jesiony i olsze kłaniały się w pas strzelistym topolom, a rosochate wierzby kulily się po brzegach traktu jak podróżni odpoczywający po męczącym dniu.

Minęły łany żółcącej się pszenicy, z rzadka przeplatane wąskimi smugami gryki, poletkami owsa i długimi zakosami pastwisk, nad którymi gdzieniegdzie unosiły się wątle strużki dymu, niekiedy śmiech, innym zaś razem dźwięczny głos pasterskiej fujarki. Przejechali obok Bachorzka zasłoniętego drzewami, nad którymi sterczała dzwonnica i krzyż na dachu kościoła Świętej Katarzyny.

– Widzieliście – rzekł do towarzyszy pan Świrski. – Wieźli nieboszczyka w trumnie okrytej czerwoną materią jak bohatera, co krew za Rzeczpospolitą przelewał. Nie ma dziś granic

pańska fanaberia. Lada szaraczek chowa się w murowanym sklepie w kapciach i w czerwonym atłasie, jak pułkownik. Pachołek skręci kark na schodach do zamtuza, a zaraz z niego na pogrzebie defensor patriae^{<1>}, rotmistrz albo pułkownik. Lada hołota z wiejskiej baby na łeb spadnie, a zaraz ma pogrzeb jak hetman – z castrum doloris^{<2>} i kruszeniem kopii nad trumną. Ten tutaj w zwadzie zwykłej zginął, a pochowają go pewnie jak bohatera, w trumnie obitej czerwoną materią, jakby krew przelał za ojczyznę.

– Bolestraszyccy możni panowie. Stać ich nie tylko na ak-samit.

– Tacy to byli słudzy Bolestraszyckich jak ze mnie minister luterski! Tych drapichrustów trzeba było kijami obadać, a tego czarniawego nahajem na ziemię sprowadzić.

– Niby dlaczego?

– Konfabulowali, aż zęby bolały. Primo, jak oni wieźli nieboszczyka, syna Jana, do ojców franciszkanów, kiedy cały ród Bolestraszyckich od lat pozostaje przy luterskiej wierze?

– Może starego rzymski krzyż oświecił? I rewokował?

– Jak miał rewokować, skoro ojciec i bracia to wszystko zjadli wrogowie jezuitów i Ojca Świętego? Wszak pomnę jeszcze, że pan Samuel z Bolestraszyckiej linii przełożył na polski i wydał drukiem w Dobromilu, u pana Herburta, paskwilus na naszą wiarę katolicką. *Nowości papieżnickie przeciwstawione pierwotnemu chrześcijaństwu* – tak się tłumaczy tytuł dzieła Piotra de Moulins, któremu księża dominikanie z Przemyśla przeciwstawili sądy grodzkie z takim skutkiem, że pan Bolestraszycki musiał odpokutować pół roku w więzy i zapłacić dwieście grzywien kary. Spalili nawet na przemyskim rynku...

– Kogo?! – prychnął Dydyński. – Chyba nie Bolestraszyckiego, bo wtedy szlachta by księżulkom skrzydła dorobiła obuszkiem, a męczeńską koronę ukręciła z batożków.

1 łac. – obrońca ojczyzny

2 łac. – zamek bólu – patrz przypisy końcowe

– Toć mówię, że jeno księgę spalili. To primo. A secundo...

– Nie chcę ani secundo, ani tertio. Ucisz się, waść – rzekł Dydyński zmęczonym głosem, bo pan Świrski oblatany był nie tylko w pijaństwie i genealogii, ale także, a może nade wszystko, słynął jako niezwykły wprost gaduła. Jednak tym razem pan Herakliusz nie dał się tak łatwo zbić z pantałyku.

– Secundo, że u pana Jana nie ma żadnego syna na przychówku. Wszyscy wiedzą, że z małżonki jego ichmości Anny Pstrokońskiej przyszły na świat tylko trzy córki: Elżbieta, Zofia i Felicjana. Chyba że rzekomy Janusz jest z nieprawego związku. Ale po cóż wtedy ciało do Polski sprowadzać? Dość bękartą w polu pogrzebać. Jak powiadają: *Tu leży N.N., więc nad jego grobem westchnij tyłem, zapłać przodem*. A w ogóle to nie wiem, czy wam mówiłem, że Bolestraszyckich z Bolestraszycc to wszystkich pięciu jest. Jan, Samuel, Krzysztof, Erazm i Piotr. O żonie Jana już mówiliśmy, tenże zaś Krzysztof żonaty jest z Joanną, z domu Wilam, Piotr zaś z Anną Krasicką, która...

– Dość! – uciął krótko Dydyński. – To nie nasza sprawa.

– Bo wy, waszmościowie, nie wiecie, że był jeszcze niejaki Bolestraszycki, to jest Marcin, chłopski syn spod Miechowa. Ten miał za żonę zwykłą chłopównę z Szydłowa, handlował winem i przekupywał bławatami. Pisał się zaś z Bolestraszycc, co jest falsum³, bo ojciec jego był zwykłym chamem, a zwali go Grodkiem. Tego pewnego razu we Lwowie spotkał pan Krzysztof Bolestraszycki i razem z czeladzią zaszedł do niego w odwiedzinie – niby do krewniaka. Tam w domu jego wszystko wino wypił, za kilkaset złotych, i nie zapłacił, mówiąc: *Żeś ty Bolestraszycki, tedy nie godzi się od krewnego za to częstowanie płacić, u szlachty tak nie bywa*. A potem na ostatku kazał kijem po łbie mu dać i srogo przykazał, by się Bolestraszyckim nie zwał, bo z braćmi wróci i nie kij będzie w robocie, ale powróż konopny!

– I mnie się nie podobali ci podróżni – dorzucił Nieborcki, sprowadzając pana Herakliusza na właściwą drogę. – Niby

3 łac. – fałsz

czeladź, a nie byli w jednej barwie, jak hajducy, sabaci czy kozacy po dworach.

– Kupa swawolna, panie bracie, a nie pocztowi.

– Kiedy się wóz na kamieniach trząśł – uzupełnił Niebor-ski – to w środku coś grzechotało. Musi złota ma na sobie dużo pan nieboszczyk.

– Może oni sami Bolestraszyckiego zabili?

– Dość! – Dydyński wsparł się na szabli. – To nie moja sprawa! Nie jedziemy na przechadzkę do zamtuza, mości panowie, że w każdej chwili możemy zawrócić, jak nam towarzystwo nie odpowiada. Mój ojciec dobywa ostatniego ducha. Musimy stanąć w Dydni jak najszybciej, aby i na mnie nie czekała tam kolejna trumna obita aksamitem. Uszanujcie moją wolę i nie-szczęście. Poza tym, do kroćset, nie będę prowadził o tym dyskursu, bo ja tu pan, a wy słudzy. Jedziemy do Dydni i koniec!

Pocztowi pokiwali głowami, a Dydyński ruszył rysią. Nie chciał mówić o tym przy kompanach, ale powinni jechać, jakby się paliło, aby stanąć w wiosce szybciej niż drapieżny brat Przeclaw, który na wieść o chorobie pana rodzica na pewno wyruszył już ze szkół z Krakowa i pędził co koń wyskoczy, aby zabezpieczyć swoją część ojcowizny.

A zatem w konie!



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki